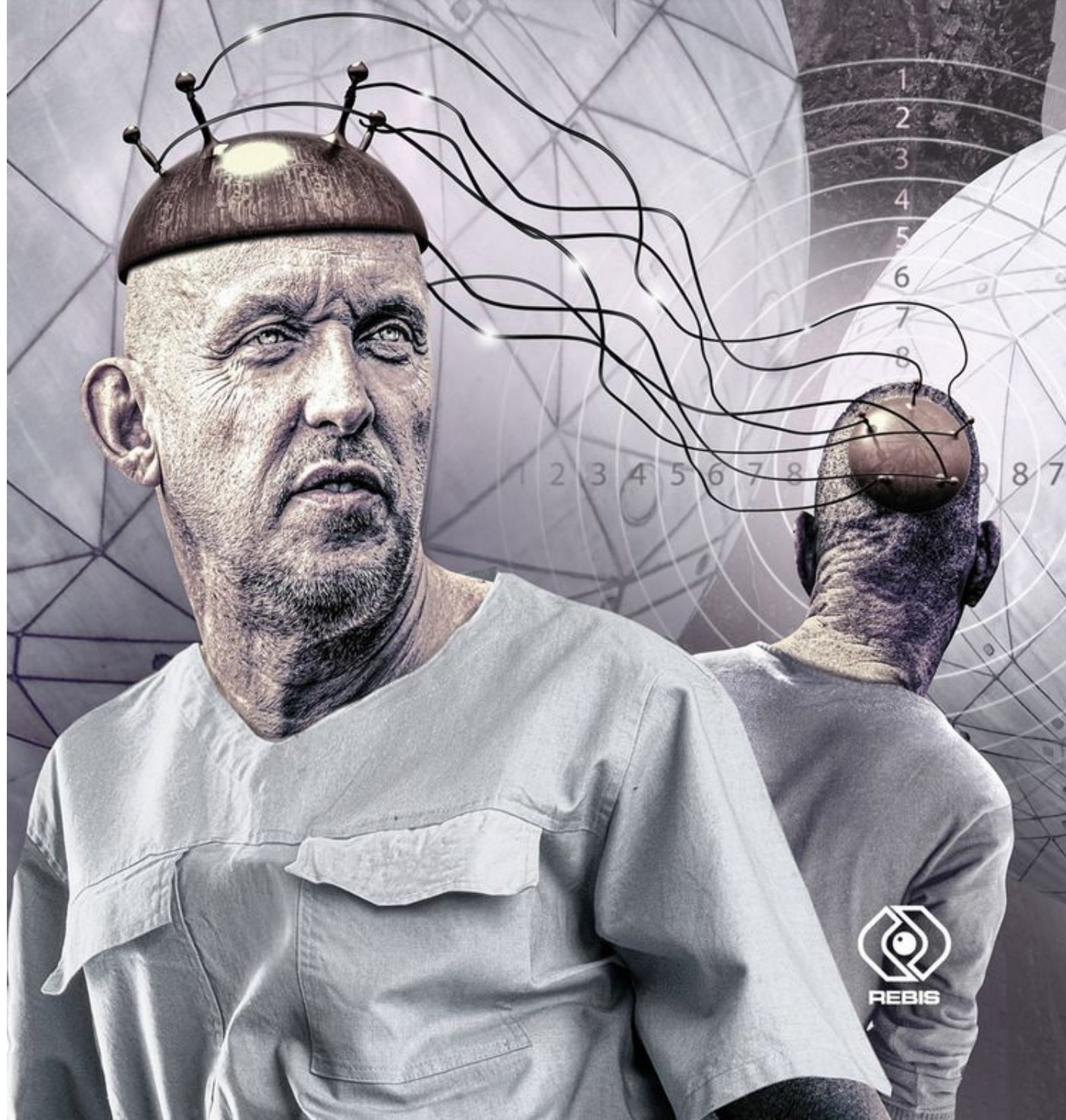


Alfred Bester

CZŁOWIEK DO PRZERÓBKI



REBIS

[RECENZJA] "Człowiek do przeróbki" Alfred Bester

nimfa bagienna

Co poeta chciał przez to powiedzieć?

To pytanie chyba każdy z nas słyszał w szkole. Większość uczniów dawnych i obecnych nie wspomina go dobrze – wiadomo, interpretacja wiersza, zwłaszcza jeśli napisał go wieszcz narodowy, mogła być tylko jedna, ta zaakceptowana przez ministerstwo oświaty. Dlatego pytanie ocierało się o prymitywną hipokryzję, bo nie liczyło się, co o wierszu myśli uczeń, tylko to, by wypowiedział się zgodnie z obowiązującą linią. Jeśli o mnie chodzi, lata szkolne mam już dawno za sobą, a refleksje na temat „Co poeta chciał przez to powiedzieć?” wzbudziła we mnie powieść daleka od kanonu szkolnych lektur, czyli „Człowiek do przeróbki” Alfreda Bestera.

Albowiem jestem zdania, że w każdym dziele literackim jego twórca odzwierciedla obraz swoich czasów – i czyni to często w sposób nieświadomy. W ten sposób „poeta może powiedzieć” (czy raczej opowiedzieć) o tym, jaki był jego świat a ściślej, jakie wówczas wyznawał poglądy. Postanowiłam się zabawić i wyszukać kilka rzeczy oddających stosunek Bestera do pewnych zjawisk. Mam bowiem ten luksus, że teraz już mogę sobie swobodnie pointerpretować tekst i żaden nauczyciel nie jest w stanie wytknąć mi błędu (czytaj: niezgodności z jedyną słuszną interpretacją).

„Człowiek do przeróbki” został napisany przed rokiem 1953, czyli w czasach, od których dzieli nas prawie 70 lat. I (przynajmniej dla mnie) jest obrazem Ameryki lat 50. przedstawionej w krzywym zwierciadle i częściowo uzupełnionym jej antytezą.

W latach 50. Ameryka odbiła się już od dna, które osiągnęła za sprawą kryzysu z lat 30. To świat rozkwitu korporacji i powstawania wielkich fortun – Ben Reich wydaje się jakby żywcem z niego wyjęty. Jest głodny sukcesu i najlepiej, by ten sukces był absolutny. Jest na tyle potężny, by być rozpoznawalnym, a jego nazwisko się liczyło, ale wciąż na tyle niepewny swego, by wszelkimi możliwymi sposobami próbował zapewnić sobie status numeru jeden. Doskonale zdaje sobie sprawę, że sposób, w jaki ma zamiar umocnić swoją pozycję, jest odrażający, lecz prze do przodu mimo obiekcji, dąży prosto do celu. Nie powstrzymuje go nic, nawet enigmatycznie (przynajmniej na początku) nakreślona kara, jakiej zostanie poddany, gdyby mu się nie powiodło. Czyli tytułowa przeróbka.

Stany Zjednoczone z lat tuż po wojnie mają już za sobą duży krok naprzód, jeśli chodzi o kwestię kobiecą. Podczas wojny przedstawicielki płci pięknej pracowały w fabrykach i dzięki temu udowodniły swoim domowym panom i władcom dwie rzeczy. Pierwsza – umieją pracować równie wydajnie jak oni i tak jak oni przynosić do domu konkretne pieniądze, i druga – doskonale odnajdują się poza zaklętym kręgiem pieluch i garów. Podczas wojny spróbowały wolności i ani myślały wracać do domu, by tam pokornie czekać na mężów... którzy takim stanem rzeczy raczej nie byli zachwyceni. Jak sądzę, mieli oni podobne podejście do sprawy jak nasi „obrońcy tradycyjnego modelu rodziny”, w których uładowanym obrazie rzeczywistości nagle zabrakło czegoś, do czego od pokoleń byli przyzwyczajeni, czyli pozycji domowego lidera otrzymywanej w prezencie od losu, bez najmniejszego wysiłku. W takim kontekście Ben Reich jawi się jako do bólu stereotypowy samiec alfa, który łaskawie pozwala uwielbiać się Mary Noyes (rzecz jasna stojącej w hierarchii niżej od niego), ale nie ma zamiaru się z nią żenić ani płodzić z nią dzieci, choć zdaje sobie sprawę, że dla Mary małżeństwo i macierzyństwo byłoby najważniejszą rzeczą w życiu. Obraz kobiety, za jaką tęsknią mężczyźni tamtych czasów, uzupełnia postać Barbary D’Courtney – cofniętej w rozwoju do

stadium dziecka, które w pozbawiony krytycyzmu (i wcale niedziecięcy) sposób wielbi swojego „tatusia”, czyli Lincolna Powella. Owszem, są w powieści i silne postaci kobiece, ale jedna to artystka, a druga jest czymś na kształt ekskluzywnej hetery. Można zasięgnąć u nich porady, można się z nimi zabawić, ale nikt nie pali się, by którąkolwiek traktować jak życiową partnerkę.

W latach 50. w USA nikt oficjalnie nie zastanawiał się nad sensownością stosowania kary śmierci – po prostu ją wykonywano. W „Człowieku do przeróbki” widzimy jej swoistą antytezę, przeróbkę właśnie. Niby wszystko jest pięknie i humanitarnie, człowiek zachowuje głowę na karku, jednak trudno mi powiedzieć, co wydaje się bardziej okrutne: odebranie człowiekowi życia na krześle elektrycznym czy manipulacje dokonywane podczas przeróbki.

Zdaję sobie sprawę, że recenzja ma zachęcać do lektury recenzowanego dzieła lub tę lekturę odradzać. Przeprowadzona powyżej interpretacja konstrukcji niektórych postaci temu właśnie służy – ukazuje, że powieść poza akcją, fabułą, kryminalną zagadką czy przyszłościowymi ozdobnikami (które są spójne, atrakcyjne, godne uwagi i absolutnie bez zarzutu) może ofiarować czytelnikowi coś więcej. Owym „czymś więcej” jest w moim mniemaniu właśnie materiał do analizowania, w jaki sposób świat, jaki pisarz miał za oknem, przeniknął do jego książki. Bo Ameryka lat 50. jest w niej wyraźnie obecna, choć rzecz dzieje się w przyszłości. Zdaję sobie sprawę, że w szukaniu przeszłości w opisaną przez Bestera przyszłości odsłoniłam jedynie czubek góry lodowej, dlatego gorąco zachęcam do lektury „Człowieka do przeróbki”. Czytajcie, szukajcie i analizujcie, bo materiału w powieści jest po temu aż nadto.

Hanna Fronczak